Nr. 24. Sobota dnia 14-go czerwca 1913.

Gość Świąteczny.

Bezpłatny dodatek.

Na niedzielę piątą po Zielonych Świątkach.

LEKCYA

z pierwszego listu św. Piotra, rozdział III, wiersz 8—15.

Najmilsi! Bądźcie wszyscy jednomyślni, spółcierpiący, braterstwa miłośnicy, miłosierni, skromni, pokorni, nie oddawając złego za złe, ani złorzeczeństwa za złorzeczeństwo, lecz przeciwnym obyczajem błogosławiąc, gdyż na to jesteście wezwani, abyście błogosławieństwo dziedzictwem posiedli. Albowiem kto chce żywot miłować i oglądać dni dobre, niech pohamuje język swój od złego i usta jego niech nie mówią zdrady. Niech się oddala od złego, a niech czyni dobrze. Niech szuka pokoju, a niechaj go ściga, albowiem oczy Pańskie nad sprawiedliwymi, a uszy Jego ku prośbie ich; lecz twarz Pańska na działających złości. I któż jest, coby wam zaszkodził, jeśli dobrego naśladowcami będziecie? Ale i choć co cierpicie dla sprawiedliwości, błogosławieni. A strachu ich nie strachajcie się, ani sobą trwożcie, lecz Pana Chrystusa święćcie w sercach waszych.

EWANGELIA

u św. Mateusza rozdział V, wiersz 20—24.

Onego czasu rzekł Jezus do Swych uczniów: Jeśli nie będzie obfitowała sprawiedliwość wasza więcej niż doktorów zakonnych i Faryzeuszów, nie wnijdziecie do Królestwa niebieskiego. Słyszeliście, iż rzeczono jest starym: nie będziesz zabijał, a ktoby zabił, będzie winien sądu. A Ja wam powiadam, iż każdy, który się gniewa na brata swego, będzie winien sądu. A ktoby rzekł bratu swemu „Raka", będzie winien rady. A ktoby rzekł, głupcze, będzie winien ognia piekielnego. Jeśli tedy ofiarujesz dar twój do ołtarza, a tam wspomnisz, iż brat twój ma nieco przeciw tobie, zostaw tam dar twój przed ołtarzem, a idź pierwej zjednać się z bratem twoim; a tedy przyszedłszy, ofiarujesz dar twój.

NAUKA.

Kto się procesuje, rychło się zrujnuje.

„Każdy, kto się gniewa na brata swego, będzie winien sądu".

Gniewać się na brata, na swego bliźniego, nie wolno. Na sąsiada swego krzywo się patrzeć, w sercu swojem nosić ku niemu złość utajoną, nienawidzieć go, życzyć mu źle, choćby po cichu, nie wolno. Poganom nawet nie uchodzi, i oni bowiem mają w sercu swojem zapisane to przykazanie: czego sobie nie życzysz, nie życz drugiemu.

A między nami tymczasem, cośmy chrześcianie, ileż to gniewów, kłótni, nienawiści nawet. Brat nieraz z bratem rodzonym wcale się oddawna nie schodzą, z daleka się omijają, bo mają gniew przeciwko sobie. Choć obydwaj chodzą do kościoła, a w pacierzu te słowa codzień odmawiają: *odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom*, choć się i spowiadają, gniewają się jednak na siebie zapamiętale. I między sąsiadami często się to samo przydarza, a jeszcze częściej między sąsiadkami. A tu woła Pan Jezus: *każdy, kto się gniewa na brata swego, będzie winien sądu*, winien kary, i kary tej nie ujdzie. Ten Bóg, który i w serca nasze zagląda, On nas za to ukarze, że gniew w sobie nosimy na brata swojego.

A może takich u nas nie znaleźć, coby się na siebie gniewali? Zaglądnij jeno na korytarze sądowe, a wnet się o tem przekonasz, ilu to ludzi żyje w ciężkich gniewach, bo się procesują pomiędzy sobą. Jeden chodzi tam zaraz obok drugiego, ramionami się nawet trącają, ale na siebie nawet nie spojrzą. A są to sąsiedzi, dachy domów ich dotykają się z sobą, a są to krewni sobie, nawet i kumowie, bracia, nawet i siostry. Dzisiaj nic ich zgoła nie łączy, chyba jeden gniew, proces jeden, dzisiaj w łyżce wody radby utopić jeden drugiego.

O cóż przecie chodzi tym ludziom, tym starym sąsiadom! O co im chodzi? Na granicy ogrodu ich stara stoi wierzba. Kto, kiedy ją sadził, pamiętnika już nie ma, ale ktoś musiał ją posadzić. Dzisiaj jeden sąsiad i drugi tę wierzbę sobie przywłaszcza, a więc i proces gotowy. Ileż to wierzba ta usłyszała już przekleństw! Więcej podobno, niż liści na jej gałęziach, bo sąsiedzi oddawna się o nią spierają. Przyszło nareszcie i do procesu. Więc jeden oddaje sprawę adwokatowi, drugi tak samo. Więc jedna komisya sądowa zjeżdżała tam na miejsce i druga. Dość, że nieszczęśliwa ta wierzba tyle już kosztów za sobą pociągła, że za te pieniądze można było z morg lasu zakupić. Cóż więc? czy nie powiedzieć o tych sąsiadach, że dyabeł ich chyba opętał? Żeby się też spierać o marną wierzbę, żeby tyle dla niej naobrażać Boga, tyle czasu i pieniędzy stracić, czy nie potrzeba na to chyba dzikich pogan. A oni chrześcianie tymczasem, a do tego sąsiedzi, a do tego kumowie. Nie inaczej rzecz taka się dzieje, tylko że się do niej dyabeł przyplątał. I za wierzbę marną jeden i drugi gotów pójść razem do piekła.

O cóż to przecie chodzi tym ludziom, tym dwu gospodarzom, co się tam wałęsają po korytarzu sądowym? Ano, jeden drugiemu skibę miedzy przeorał. Oczywista, źle uczynił ten, który przeorał, ale czyż niema we wsi urzędu gminnego, żeby rzecz taką załatwił? Oni tymczasem odrazu poszli do sądu. Skargi więc, termina, komisye lecą po sobie, a za niemi jedna dziesiątka leci za drugą co chwila. Cóż nam powiedzieć o tych gospodarzach? Toć to nie młokosy, owszem ojcowie już dzieciom, a w tym procesie na młokosów oni całkiem wyglądają. Bo złożyć te pieniądze razem, wiele ich ten proces kosztuje, a możnaby za nie nabyć morg roli, a oni grosz ten wydali za jedną skibę. Nadszarpali też majątek swój niemało, a jeszcze i długu sporo im przybyło. Pisarzom tylko i adwokatom z procesu ich pożytek juści nie lada.

O cóż się rozchodzi tym ludziom — tym braciom, tym siostrom — co tam w sądzie na termina stawają?

O spadek po ojcu im się rozchodzi. Ojciec ich umierając, rozporządził testamentem wyraźnie, co któremu z jego dzieci po śmierci przypadnie, ale dzieci testamentem ojca się nie kontentują. Każde z nich radeby wszystko pod siebie zagarnąć, a drugiemu nic nie dać, więc i proces gotowy. Jak to? więc wola ojca niczem jest u was, niczem jego błogosławieństwo? Jeszcze i w grobie ojcu waszemu nie dacie spokoju, co całe życie na was pracował, co was przytulał do serca swojego? I ojcowskiego błogosławieństwa się wyrzekacie, jakiego wam pod tym warunkiem przed śmiercią udzielił, jeżeli wolę jego uszanujecie? Ale dla tych dzieci niema dziś ani woli ojcowskiej, ani testamentu jego, nic świętego dla nich już niema. Jedno ich tylko nęci dziś ku sobie: ten łańcuch, ażeby go posiąść, ten pług, aby go pozyskać, ta deska, co pozostała od trumny, aby ją zabrać do siebie. Niech tego brat nie ma, ni siostra, powiadasz, niech ja to koniecznie zagarnę. Aż się ta sprawa do sądu dostała. I teraz w jednej rodzinie kipi jak w piekle, i teraz brat bratu, siostra siostrze od złorzeczeń, od przezwisk codzień wymyśla, piorunami nawzajem na siebie rzucając. Ta deska, ten pług, ten łańcuch rozerwały między nimi na długo węzeł rodzinny, może i na zawsze. Gniew, złość, zawiść nie ustąpią już może z ich serca. Ale na majątku ich przez ten proces nic im nie przyrośnie, ale dużo ubędzie. Trochę adwokaci zabiorą, resztę Bóg zabierze, że woli ojcowskiej nie uszanowali, że złamali ohydnie jego testament.

Co teraz opowiem, stało się w jednej z wiosek naszych. Nazwiska tu nie wymieniam, ci bowiem, których to dotyczy, żyją do dzisiaj.

Ojciec jeden, gospodarz na dziesięciu morgach, miał dwu synów i jedną córkę. Umierając, zrobił on testament, w którym synowi najstarszemu pięć morgów roli zapisał, młodszemu trzy, a dwa córce jedynej. Oprócz tego mieli się podzielić w równej części zbożem, jakie było w szpichlerzu. Konie, krowy, narzędzia rolnicze, dom z budynkami gospodarskimi najstarszemu przeznaczył synowi. Młodszy syn jednak, tak samo i siostra, czuli się pokrzywdzonymi takim testamentem, więc wdali się w proces. Trwał on długie lata, zakończył się jednak zupełnem zatwierdzeniem woli ojcowskiej. Proces się zakończył, a bieda i nędza rozpoczęły się u nich. Z dwu morgów roli zostało córce tylko trzy ćwierci morga, a na dobitek troje dzieci, co na świat wydała, pomarło jej w jednym miesiącu. Syn młodszy rozpił się w tym czasie na urząd; czego jeszcze nie przeprocesował, w dwa lata potem całkowicie przepił i poszedł na służbę do żyda. Starszy syn wiele też na majątku ucierpiał, dziś jednak, przy Bożem błogosławieństwie majątek swój o tyle pomnożył, że do roli, po ojcu odziedziczonej, trzy morgi jeszcze dokupił.

Powiedzcie, nie jest że palec Boży w tem wszystkiem? Kara Boża spotkała widocznie te dzieci, co się na złamanie testamentu swojego ojca zerwały. Szkoda, że sobie zawczasu nie przypomniały na to przysłowie: lepsza słomiana zgoda, niż złoty proces. Byłyby uszły tej straty, jaka ich spotkała i tej kary Bożej, tem więcej, że brat ich starszy dla zgody, dla uniknienia procesu, chciał im nad testament ojca po pół morga roli przyczynić!

Tak oto wychodzą ci, co się procesują.

Ale co dusza ich równocześnie traci, to się nie da ani obliczyć, ani na wadze odważyć. I ona też całkiem się rujnuje. Choć bowiem procesnicy i modlą się i poszczą i dają jałmużny, a Bóg im tego nie zapisuje w księdze żywota. Choć tacy do kościoła chodzą i cudowne miejsca odwiedzają, a Pan Bóg ofiary tej od nich nie przyjmuje. Wyraźnie przecie mówi Pan Jezus: *jeśli ofiarujesz dar twój do ołtarza, a tam wspomnisz, że brat twój ma nieco przeciw tobie, zostaw tam dar twój przed ołtarzem, a idź pierwej zjednać się z bratem twoim, a tedy przyszedłszy, ofiarujesz dar twój.* To znaczy wyrzuć pierwej gniew z serca twojego, przeproś się pierwej z twym bratem, pojednaj się z nim, a potem dopiero składaj Mi ofiarę. Inaczej ofiary twojej nie przyjmę, nie poczytam ci jej na niebie. Przeto się bój, aby i na tobie nie spełniły się słowa Jezusowe: *każdy, kto się gniewa na brata swego, będzie winen sądu,* a procesów wszelakich unikaj jak ognia. Amen.

DZWON.

Parafia Lande-Fleurie, leżąca w południowej Francyi, miała bardzo starego proboszcza i jeszcze bardziej stary dzwon.

Staruszek-dzwon popękany był we wszystkich kierunkach. **Rozbity głos jego przypominał kaszel starej kobiety.** Przykro go było słyszeć, gdy wzywał na modlitwę, przejmował smutkiem znajdujących się na polach wieśniaków.

Proboszcz Corentin dzielnie się jeszcze trzymał, pomimo siedmdziesięciu pięciu lat wieku. Miał twarz dziecka, pomarszczoną, ale różową, otoczoną siwemi włosami, podobnemi do lnianej przędzy. Parafianie ubóstwiali go za wesołą dobrotliwość i miłosierdzie.

* * *

By uczcić zbliżającą się pięćdziesięcioletnią rocznicę kapłaństwa księdza Corentina, parafianie jego postanowili ofiarować mu poważny podarunek.

Trzej członkowie dozoru kościelnego zbierali składki we wszytkich domach. Otrzymane w ten sposób 300 franków ofiarowano proboszczowi, prosząc go, by za tę sumę kupił w mieście nowy dzwon.

— Moje dzieci — dziękował wzruszony ksiądz — moje dzieci... widocznie sam Pan Bóg, który... który, żeby tak rzec... w pewien sposób...

Wzruszenie nie pozwoliło mu dalej mówić.

* * *

Nazajutrz proboszcz Corentin wyruszył po kupno dzwonu. Musiał iść piechotą dwa kilometry do Rosy-les-Roses, skąd wyruszał omnibus do Pont l'Archeveque, stołecznego miasta prowincyi.

Poranek był piękny. Życie drzew, ptaków i zbóż szemrało w słońcu po obu stronach drogi.

A stary proboszcz szedł z głową pełną przyszłych pięknych tonów nowego dzwonu i dziękował Bogu, za dobroć i wesołość świata całego.

Pod samym Rosy-les-Roses ujrzał przy drodze wyprzągnięty wózek jakichś biednych cyrkowców. Obok, ze sztywno wyciągniętemi nogami, leżał koń. Z pod wywartej skóry wyraźnie widać było spiczaste kości. Oczy zaszłe bielmem, zastygłe.

Stary człowiek i stara kobieta, dziwacznie i nędznie ubrani, siedzieli nad brzegiem rowu, opłakując zdechłego konia.

Piętnastoletnia dziewczyna podniosła się z nad rowu i podbiegła do księdza:

— Miłosierdzia, księże proboszczu, miłosierdzia!

Głos był ochrypły i słodki razem. Ubrana była tylko w brudną koszulinę i czerwoną spódnicę, gołe ręce i twarz miały kolor miedzi. Ramiona pokrywały tatuowane niebieskie kwiaty. Czarne włosy spinała

obręcz miedziana. Oczy miała duże, czarne aksamitne, i wiśniowe usta.

Zwolniwszy kroku, proboszcz wyjął z portmonetki miedziaka. Spotkawszy jednak oczy dziecka, zatrzymał się i zaczął je pytać o przyczynę nędzy.

— Brat mój siedzi w więzieniu, gdyż mówią, że ukradł kurę. On pracował na nas, a teraz już od dwóch dni nic nie jedliśmy.

Proboszcz schował miedziaka do woreczka, a wyjął srebrny pieniądz.

— Ja, — mówiła dalej, — umiem żonglować, a matka opowiada śmieszne historye. Ale teraz nie pozwalają nam pokazywać się ani w mieście, ani w wioskach, gdyż jesteśmy zbyt obdarci. A oto zdechł nam koń. Co się teraz z nami stanie?

— A czy nie możecie — pytał proboszcz — znaleźć sobie jakiegoś zajęcia tu, w okolicy?

— Ludzie nas się boją i rzucają w nas kamieniami. A przytem nigdyśmy nie uczyli się pracować, umiemy pokazywać tylko sztuki. Gdybyśmy mieli konia i trochę pieniędzy na ubranie, moglibyśmy jeszcze żyć z naszych sztuk... Ale tak... pozostaje nam tylko śmierć.

Proboszcz schował srebrną monetę do portmonetki.

— Kochasz ty Pana Boga? — spytał.

— Kochałabym go, gdyby nam przyszedł z pomocą.

Proboszcz czuł w kieszeni worek z 300 frankami.

Żebraczka nie spuszczała z świętego księdza oczu, oczu cygańskich, o dużych, czarnych źrenicach.

— Jesteś grzeczną?

— Grzeczna? — powtórzyła ze zdziwieniem cyganka, nie rozumiejąc słowa.

— Powiedz: „Panie Boże, kocham Cię!

Dziecko milczało z oczami pełnemi łez. Proboszcz odpiął guziki sutanny i wyjął dużą sakiewkę, pełną pieniędzy.

Cyganka schwyciła sakiewkę ruchem małpy, wołając:

— Panie Boże, kocham Cię!

* * *

Proboszcz szedł dalej do Rosy-les-Roses, rozmyślając o wielkiej nędzy, w której podoba się Bogu trzymać tyle swych stworzeń i modlił się o oświecenie tej małej cyganki, która, co było widoczne, nie miała żadnej religii, a może nawet nie otrzymała chrztu św.

Aż nagle wspomniał, że nie miał już po co iść do Pont-l'Archeveque, nie mając pieniędzy na dzwon.

Więc zawrócił.

Teraz nie mógł zrozumieć, jak mógł dać nieznanej żebraczce, cyrkówce, tak wielką sumę pieniędzy — zwłaszcza nienależącą do niego.

Przyspieszył kroku, mając nadzieję zastać jeszcze cyganów. Ale napróżno — przy drodze leżał tylko zdechły koń i stał wyprzągnięty wózek.

Zaczął rozmyślać nad swym czynem. Bez żadnej wątpliwości ciężko zgrzeszył: nadużył zaufania swych parafian, naruszył depozyt, popełnił pewnego rodzaju kradzież.

Z przerażeniem przewidywał następstwa swego błędu. Jak go ukryć? Jak naprawić? Gdzie znaleźć nowe 300 franków? A oczekując na nie, co odpowiadać na zapytania? Jak wytłómaczyć swoje postępowanie?

Niebo się zachmurzyło. Od ciemnego horyzontu ostro odcinały się zielone drzewa. Zaczęły padać wielkie krople deszczu. Ksiądz Corentin był zdziwiony i przejęty pięknością świata.

Niewidziany przez nikogo, dostał się na plebanię.

* * *

— Co? Już z powrotem, ojcze proboszczu? — pytała zdziwiona stara służąca Scholastyka. — Ale to dobrodziej chyba nie był w Pont-l'Archeveque?

Ksiądz skłamał:

— Spóźniłem się na omnibus w Rosy-les-Roses... Pójdę którego innego dnia... Słuchaj, nie mów nikomu, że już powróciłem.

Nazajutrz nie odprawił zwykłej Mszy świętej. Cały dzień siedział zamknięty w pokoju, nie śmiejąc nawet wyjść do ogródka.

Następnego dnia przyjechano po niego, by zawiózł ostatnie Sakramenty umierającemu.

Ksiądz proboszcz jeszcze nie powrócił — rzekła służąca.

— Scholastyka się omyliła; otóż jestem i jadę — rzekł ksiądz, ukazując się nagle.

* * *

Wracając od chorego, spotkał jednego ze swych najpobożniejszych parafian.

— Dzień dobry, księże proboszczu, jakaż była podróż?

Ksiądz skłamał po raz drugi:

— Wyśmienita, mój przyjacielu, wyśmienita!

— A dzwon?

Proboszcz znowu skłamał. Już przestał nawet liczyć te kłamstwa.

— Wspaniały, prześliczny! Możnaby pomyśleć, że z czystego srebra. A co za śliczny dźwięk! Wystarczy tylko lekko uderzyć, a dzwoni tak długo, iż zdaje się, że nigdy nie skończy.

— I kiedyż go ujrzymy?

— Niedługo, mój przyjacielu, niedługo. Ale trzeba przedewszystkiem wyrzeźbić w metalu jego imię chrzestne, potem imiona rodziców chrzestnych, a także kilka zdań z Pisma świętego... Na to wszystko trzeba czasu.

— Scholastyko — spytał proboszcz, powróciwszy do domu, — czy sprzedawszy fotel, zegar i szafę z pokoju mego, dostałbym 300 franków, jak myślisz?

— Za to wszystko nie danoby i trzydziestu franków! Całe umeblowanie księdza proboszcza nic nie warte.

— Ha, kiedy tak, to od dzisiejszego dnia nie będę jadł mięsa. Mięso mi szkodzi.

— Księże dobrodzieju, to wszystko nie jest naturalne i jestem pewna, że tu coś jest. To od czasu podróży księdza do Pont-l'Archeveque. Co tam się dobrodziejowi przytrafiło?

I wierna służąca poczęła tak go badać, że nareszcie wyznał jej wszystko.

— Ach — zawołała, — to mnie zupełnie nie dziwi. To dobre serce to jeszcze zgubi dobrodzieja. Ale niech się ksiądz proboszcz nie martwi. Podejmuję się wytłómaczyć całą historyę aż do czasu, kiedy dobrodziej zbierze nowe 300 franków.

I Scholastyka zaczęła komponować historyę, którą opowiadała wszystkim spotkanym. Przy pakowaniu dzwon pękł i trzeba go było odlewać na nowo. Gdy dzwon został naprawiony, ksiądz proboszcz posłał do Rzymu po błogosławieństwo Ojca świętego, a do Rzymu droga daleka, podróż długa...

Ksiądz pozwalał to wszystko opowiadać, ale z dnia na dzień stawał się coraz bardziej nieszczęśliwym. Oprócz własnych, wyrzucał sobie teraz kłamstwa służącej, za które się czuł odpowiedzialnym. Wszystko to, połączone z samowolnem użyciem pieniędzy parafian, tworzyło przerażającą ilość grzechów. Giął się pod tym ciężarem. Powoli ziemiasta bladość zmieniła na wychudłych policzkach rumieńce niewinnej i dzielnej starości.

* * *

Dzień oznaczony na jubileusz proboszcza i na chrzciny dzwonu minął już dawno. Mieszkańcy Lande-Fleurie dziwili się temu opóźnieniu. Rozlegały się szemrania.

Utworzyła się partya przeciwko znacnemu słudze Bożemu. Kiedy przechodził ulicą nie wszystkie głowy odkrywały się i słychać było obrażające szepty.

Biedny święty człowiek był przytłoczony wyrzutami sumienia. Rozumiał całą doniosłość swego błędu. Jak najboleśniej żałował popełnionego grzechu, ale pomimo wszelkich wysiłków nie mógł obudzić w sobie zupełnej skruchy.

Czuł bowiem dobrze, że tę jałmużnę nierozważną, jałmużnę z cudzych pieniędzy uczynił, jakby mimowoli i nawet bez możności zastanowienia się. Mówił też sobie, że ta litość nierozsądna mogła być dla nieświadomej duszy dziecka cygańskiego najlepszem objawieniem Boga i początkiem oświecenia wewnętrznego. I zawsze wtedy widział czarne słodkie i pełne łez oczy małej cyganki.

Pomimo to, wyrzuty sumienia trapiły go nad miarę. Błąd rósł w miarę trwania.

Więc jednego dnia, po długich modlitwach, postanowił zrzucić z siebie ten grzech przez publiczne wyznanie parafianom zupełnej prawdy.

* * *

W niedzielę, po Ewangelii wszedł na kazalnicę i bledszy, niż męczennicy na arenach, zaczął:

— Moi kochani bracia, moi kochani przyjaciele, moje kochane dzieci, mam wam uczynić wyznanie...

Lecz co to?

Z dzwonnicy płynie muzyka dzwonu jasna, czysta, srebrzysta i napełniła cały stary kościół...

Wszystkie głowy odwracają się i szmer zachwytu przebiega po wszystkich ławkach:

— Nowy dzwon! Nowy dzwon!

* * *

Czy stał się cud? Czy Bóg rozkazał swym aniołom przynieść dzwon, dla uratowania honoru swego miłosiernego sługi?

Czy też może Scholastyka zwierzyła się z kłopotów swego starego pana przed dwiema Amerykankami — wiecie? — Suzie i Bettinie Percival, które mieszkają w pięknym pałacu o milę od Lande-Fleurie — i może te dobre panie urządziły księdzu Corentin taką piękną niespodziankę?

Bądź co bądź, mieszkańcy Lande-Fleurie nie dowiedzieli się nigdy, co właściwie miał im wyznać proboszcz Corentin.

CHWAŁA PIEŚNI.

Gdy już wszystko myśl mą strudzi:
I zabiegi, i gwar ludzi,
I obłudy ślad;
Gdy chłód życia krew mą zziębi,
A żal w serce się zagłębi
I zwątpienia jad;

Wtedy jeden urok miły
Wesprze me zachwiane siły,
Zetrze śmierci pleśń,
I znów serce me otworzy
Dla ludzkości — urok Boży,
Ten urok — to pieśń.

W niej zobaczę wdzięczne kwiatki:
Nad kolebką uśmiech matki
I dziecinny wiek.
Tam trud ojca — wychowanie,
Pacholęce me igranie
I mej wiosny bieg,

W pieśni płyną wspomnień zdroje.
Tam pradziady widzę swoje,
Przez dziejowy szlak;
Syny święcą ojców kości,
A na kresach tej przeszłości,
Lśni się krzyża znak.

W pieśni szumi wieków praca,
Trudu koło się obraca,
Bije życia młot;
Robotników mkną się cienie,
Z pokolenia w pokolenie
Niosąc znój i pot.

A choć nieraz i łza tryśnie,
I na grobach wzrok zawiśnie,
Zagrzmi burzy huk...
Pieśni! zawsze w twojej nucie
Tętni serce, drga uczucie,
Tchnie miłość i Bóg.

Więc ci chwała, pieśni! chwała!
Czyś doniosła i wspaniała
Jako Tatrów grzbiet,
Czy natchniony wieszcz cię głosi,
Czy cię echo wsi unosi
I pasterski flet;

Czyli w tobie kraj jaśnieje
Przez genialną epopeję,
Ku narodów czci:
Czy z podania czerpiesz wnętrzy,
Czy liryczny ton goręcszy
Z twego łona brzmi;

Czy zawodzisz sierot płaczem,
Czyś z żniwcami lub z oraczem,
By im słodzić trud;
Czy po Wiśle płyniesz łódką,
Czy do czynu brzmisz pobudką,
Czy zachwycasz gród;

Czy w poważne świątyń psalmy,
W marsze bojów, w ofiar palmy
Lejesz ducha treść;
Czyś jest rosą w wiosny ranki,
Czy uśmiechem w snach kochanki,
Pieśni! tobie cześć!...

Edmund Znatowicz

ŁAMIGŁÓWKA.

(uł. L. Roter z Huty Bobreckiej.)

	o	o
	†	o
o	o	†
o	†	o
†	o	o
	†	o
o	o	†
o	†	o
†	o	o
o	†	o
o	o	†

Krzyżyki i kółka należy zamienić w głoski, tak, ażeby powstały słowa

Litery w miejsce krzyżyków, czytane z góry na dół, utworzą imię i nazwisko poety polskiego, który utworzył poemat pod tytułem: „Pieśń o ziemi naszej.“

Znaczenie wyrazów: 1) Okop. — 2) Niebezpieczne miejsce w rzece — 3) Przyjaciel A Mickiewicza. — 4) Słowo westchnienia. — 5) Przestrzeń dziejowa. — 6) Rzeka w Bawaryi. — 7) Imię biblijne. — 8) Zwierzę dzikie. — 9. Poeta polski. — 10) Przeciąg czasu. — 11) Owad.